

powiedział jakie przeobrażenia czekają gospodarke w najbliższym czasie:<sup>50</sup>

- "Stoimy przed historycznym zadaniem dokonania przełomowych zmian w gospodarce... Równocześnie z doraźnymi działaniami, które mają na celu przeciwdziałanie inflacji, rząd podejmie kroki inicjujące przejście do nowoczesnej gospodarki rynkowej, wypróbowanej przez kraje rozwinięte".

Nie tak więc jak niecałe trzy tygodnie wcześniej, długofalowy cel przeobrażeń systemowych został teraz połączony z doraźnym - z walką z inflacją.

## XXI

Zapowiedziana przez Mazowieckiego w Sejmie zamiana socjalizmu na kapitalizm i demokrację, pomijając już fakt jak wpadł on na taki pomysł i za czyją zgodą, stała się rzeczywistością w ciągu paru miesięcy. Zamiana na odcinku społeczno-gospodarczym nie była oddolnie wymuszona. Zdecydowano ją odgórnie. I w tym tkwi cały problem.

W normalnej sytuacji bowiem, kiedy opozycja dochodzi do władzy, to nie tylko ma przygotowany plan działania, ale także "gabinet cieni". W PRL, przedzierzgającej się w RP, niczego podobnego nie było. Tzw. strona solidarnościowo-opozycyjna nie miała żadnego skryzalizowanego programu działania w przypadku dojścia do władzy. Prawda, po wprowadzeniu "stanu wojennego" podziemna "Solidarność" wspominała o tzw. długim marszu, którego celem miała być budowa "alternatywnego społeczeństwa", ale po czerwcowych wyborach zapomniano o tym. Zresztą, odrodzona "Solidarność" doszła do władzy dzięki "złapanym" w ostatniej chwili (zapewne nie przypadkowo) sojusznikom, ZSL i SD. Należy jednak pamiętać, że wtedy jeszcze ciągle istniała 2-milionowa PZPR, pod kontrolą której było ok. 900 tys. różnych stanowisk w państwie.

Co więcej, odradzająca się "Solidarność", licząca ok. 1-1,5 mln członków, wobec ok. 10 mln w 1981 r., nie była politycznie jednolita. Niezależnie bowiem od nielicznej, ale samodzielnej i dość aktywnej "Solidarności Walczącej", w marcu 1987 r. praktycznie wydzieliła się z "Solidarności" Grupa Robocza Komisji Krajowej z Andrzejem Gwiazdą na czele, a po "okrągłym stole" powstała jeszcze "Solidarność 80" pod przewodnictwem Mariana Jurczyka.

Większa "Solidarność" z kolei, licząca ok. 0,3 mln członków, a więc prawie 7-krotnie

mniej niż w 1981 r., pozostała tak jak dawniej organizacją samodzielną.

Słabą stroną odradzającej się "Solidarności" jako siły politycznej, podobnie jak to było w latach 1980-1981, była jej organizacyjna struktura. Będąc niezależnym związkiem zawodowym, a więc organizacją nie zafiliowaną z żadną partią polityczną i o profilu zakładowo-terytorialnym, z góry skazywała się na ociężały sposób działania. Decydującymi jej ogniwami było bowiem 38 regionów, z których Śląsko-Dąbrowski, Mazowsze i Dolnośląski, były o czołowym znaczeniu. Olbrzymią rolę odgrywały również organizacje zakładowe w wielkich przedsiębiorstwach.

W rzeczywistości więc, "Solidarność" była federacją luźno ze sobą powiązanych ogniw organizacyjnych. Niesnaski zaś w jej kierownictwie, ze słabnącym autorytetem Wałęsy, ze względu na zarzut paktowania z władzą w okresie "okrągłego stołu" poza plecami organizacji, dopełniały reszty. Zwłaszcza że Wałęsa w wyborach czerwcowych nie kandydował do Zgromadzenia Narodowego i nie wszedł do "solidarnościowego" rządu, co jego sytuację czyniło wieloznaczną. Dodatkowo pogarszało ją rosące napięcie pomiędzy nim a Mazowieckim, który nie konsultował z nim rządowych poczynań. Nie lepsze miał też stosunki z OKP.

W rezultacie tego, wpływ "Solidarności" na transformację ustrojową był prawie żaden. Jedyną w efekcie siłą polityczną, która wzięła aktywny udział w ustrojowej transformacji, nie licząc "samouwłaszczania nomenklatury", była PZPR. Marian Orzechowski, członek BP i przewodniczący Klubu Poselskiego PZPR, występując 12 września 1989 r. w Sejmie, poparł ideę gospodarki rynkowej, ale jako długofalową. I na tym był koniec. W swojej masie bowiem, PZPR była już wtedy podzielona na liberalny Ruch 8 Lipca oraz konserwatywny Ruch Ludzi Pracy, zanim partia uległa samorozwiązaniu 30 stycznia 1990 r. Przedtem jednakże, ostatni jej przywódca, Mieczysław Rakowski (od 29 lipca 1989 r., zachowujący jeszcze na krótko również stanowisko premiera), nie tak jak 20-tysięczny aparat partyjny, popierał po cichu ideę "terapii szokowej".

Dawni zaś sojusznicy PZPR, a potem "Solidarności", ZSL i SD, zajęły się własnymi sprawami, a nie transformacją ustrojową. ZSL zaczęło się zamieniać w PSL (co udało mu się w maju 1990 r.), podczas gdy SD pozostało przy dawnej nazwie, ale przestało się wkrótce liczyć.

Na placu boju, poza "Solidarnością" miejską i wiejską, PZPR, ZSL i SD, zostały więc takie partie jak KPN, Konfederacja Polski Niepodległej, powstała w sierpniu-wrześniu 1979 r.<sup>51</sup>, a więc jeszcze przed "Latem 80". KPN jednakże, nieliczna, nie biorąca udziału w "okrągłym stole", nie wybrana do Zgromadzenia Narodowego i nie włączona do rządu Mazowieckiego, nie miała wpływu na przebieg dokonywanej transformacji.

Niemal identycznie było z czterema innymi nowopowstałymi partiami.

Odrodzona w marcu 1987 r. PPS, Polska Partia Socjalistyczna, od początku rozdierana wewnątrz i nieliczna, nie odegrała żadnej roli w przełomowych dla kraju chwilach.

Utworzona zaś w kwietniu 1989 r. Unia Polityki Realnej, również nieliczna i nie wchodząca do tworzonej koalicji, nie miała na nic wpływu.

Podobnie było z ZChN, Zjednoczeniem Chrześcijańsko-Narodowym, powstałym w październiku 1989 r. Nie była to partia opozycyjna, gdyż jej przywódca, Wiesław Chrzanowski, był członkiem "Solidarności" od jej powstania i aktywnie w niej działał w momencie powstawania partii, ale ponieważ nie weszła do rządzącej koalicji, więc nie liczyła się.

Wreszcie, identycznie było z powstałym w grudniu 1989 r., a raczej odrodzonym i mikroskopijnym Stronnictwem Pracy, które początkowo przyjęło nazwę Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy.

Formalnie więc, jeśli nie liczyć zakulisowej działalności części kierownictwa PZPR i zafiliowanych z nim służb specjalnych, transformacja ustrojowa rozpoczynała się bez udziału jakichkolwiek sił politycznych, albo, jak to było z "Solidarnością", transformację politycznie



osłaniała, nie mając najmniejszego pojęcia czym ona w rzeczywistości była.(słono potem za to zapłaciła).

Paradoksalnie więc, transformacja ustrojowa, konieczna i faktycznie rozpoczęta już na przełomie lat 1988/1989, w decydującym momencie była politycznie osierocona (jeśli nie liczyć jej zakulisowego wspierania przez PZPR).

Winę za to ponosi "Solidarność", głównie jej kierownictwo z Wałęsą na czele. Zgadzać się bowiem na firmowanie transformacji, o której kierunki i zakres nikt "Solidarności" nie pytał, a ona samo niczego nie pojmowała, skompromitowała się jako siła społeczno-polityczna. Chyba, że zadowalała się faktem reprezentowania jej przez Mazowieckiego i głównego architekta transformacji Balcerowicza, który nigdy nie był nawet członkiem "Solidarności".

W rezultacie tego, ludzie dokonujący transformacji, przedsięwzięcia wybitnie politycznego, działali właściwie samopas, rzecz niesłychana w polskiej i powszechnej historii.

## XXII

Zapowiedziana przez Mazowieckiego transformacja systemowa Polski, do której zabrał się Balcerowicz, a faktycznie rok wcześniej Rakowski, w części ekonomicznej, niezależnie od walki z hiperinflacją, miała szybko zaowocować stworzeniem gospodarki rynkowej, na wzór istniejącej w rozwiniętych krajach zachodnich.

Mazowiecki nie miał pojęcia o czym mówił, ale jego doradca Kuczyński, piszący część ekonomiczną jego wystąpień sejmowych, a nade wszystko "główny reformator" Balcerowicz, powinni wiedzieć co wygłaszał ich szef.

Odnośnie wzorowania się w budowie nowego systemu gospodarczego na rozwiniętych krajach zachodnich, to nikt Polakom tego nie powiedział, ani sami nie bardzo o tym wiedzieli, że jest to zadanie wyjątkowo złożone i długotrwałe, a ponadto o niepewnym finale, zwłaszcza jeśli chce się je wykonać wyłącznie własnymi siłami. Gdyby sprawa była taka prosta, to 80 procent ludzkości dawno powieliłoby tak doskonałe wzorce. Co więcej, same kraje rozwinięte, mające jakoby takie "samograje", nie musiałyby ciągle zamartwiać się stanem swojej gospodarki, która bez przerwy płata im niemiłe figle. Niektóre z nich zaś, jak Japonia, do niedawna kraj o rekordowym tempie wzrostu, już od ponad 10-ciu lat przeżywa stagnację rozwojową. Identyczne kłopoty grożą Niemcom i wielu innym krajom. USA zaś nie są dziś pewne, czy będą miały ożywienie gospodarcze czy popadną w ostry i długotrwały kryzys, jakiego dotąd nie zaznały.

Ponadto, a nawet przede wszystkim, zrównanie się Polski z krajami rozwiniętymi wymaga około dwóch pokoleń, przy założeniu utrzymania co najmniej dwukrotnie szybszego

od nich tempa rozwoju, co jak pokazuje doświadczenie ostatnich lat jest mało prawdopodobne.

Pojęcie "gospodarka rynkowa" jest ponadto w realnym świecie pojęciem umownym. Istnieją bowiem co najmniej cztery podstawowe odmiany gospodarki rynkowej, a mianowicie: liberalna, społeczna, patriarchalna i mieszana. Przykładem pierwszej są USA i inne rozwinięte kraje anglojęzyczne, drugiej są Niemcy, kraje skandynawskie i Austria, trzeciej jest Japonia, a czwartej Francja, Włochy i kraje Beneluxu (aczkolwiek nie wszystkie w jednakowym stopniu).

Między tymi odmianami występują zasadnicze różnice w sposobie produkcji i jej podziału, a ponadto różnice te ulegają ciągle ewolucji i trudno w tej chwili powiedzieć, czy z czasem zatra się czy pogłębia.

A jaką odmianę gospodarki rynkowej zamierzała wprowadzić u siebie Polska? Tym bardziej, że podejmowane przez nią zadanie nie zostało poddane nie tylko ogólnonarodowej dyskusji, czy choćby węższymi i fachowym debatom, ale narodziło się faktycznie w głowach Balcerowicza i grona jego najbliższych współpracowników. Ich pomysły zostały następnie akceptowane w całości przez "kontraktowy" Sejm i podpisane przez prezydenta Jaruzelskiego.

Czy przejście na gospodarkę rynkową, a ściślej mówiąc wolnokonkurencyjną, z jej podmiotami w prywatnych rękach, było jedynym i słusznym rozwiązaniem, przed którym stanęła Polska przy końcu lat 1980-ch?

Z teoretycznego punktu widzenia, który marksizm-leninizm chciał podkopać, ale nie zdołał, wolnokonkurencyjna gospodarka rynkowa i demokracja są dwoma stronami tego samego medalu. A ponieważ Polska, części kierownictwa PZPR nie wyłączając, chciała demokracji, to nie mogła nie chcieć jednocześnie gospodarki rynkowej, zwłaszcza że socjalistyczna zawiodła.

Oдноśnie współzależności pomiędzy demokracją i gospodarką rynkową, to już angielski filozof John Locke (1632-1704), że warunkiem demokracji jest wolnokonkurencyjna

gospodarka rynkowa. Człowiek, mający prawo do posiadania własności prywatnej i mogący, w granicach prawa i rozsądku, swobodnie nią dysponować, stwarza podstawę dla politycznej wolności i rządów prawa.

Tak pojęta gospodarka rynkowa, zwana kapitalizmem, gwarantująca jednostce wolność osobistą i nieskrępowane pole do twórczej inicjatywy, a tym samym demokrację, została już dawno uznana za najlepszy z możliwych ustrojów, mimo że nie zniósła nierówności w stanie posiadania. Uważa się jednak, że równość wobec prawa, w znacznym stopniu niweluje nierówność majątkową, w efekcie czego kapitalizm jest sprawiedliwszym ustrojem, niż wszystkie inne znane dotąd. A ponieważ rodził się on pod wpływem protestantyzmu (głównie kalwinizmu i jego purytańskiej odmiany w Anglii i USA), to nadano mu odpowiednią "oprawę moralną". Uznano bowiem, że kapitalizm jest synonimem wzajemnego zaufania, rzetelności, indywidualnej inicjatywy, uprzejmości, polegania na samym sobie i samokontroli.

Rzecz jasna, tak wyidealizowany kapitalizm, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, a tym samym wyrastająca na jego gruncie demokracja, gdzie każdy człowiek jest jakoby traktowany równo przez prawo, niezależnie od swojego stanu posiadania, jest identycznie wyidealizowana. Rodzące się bowiem w Anglii kapitalizm i demokracja miały za swojego przyrodniego brata nieokiełznaną spekulację, a tym samym nieuczciwość i brak samokontroli nad nierzetelnym postępowaniem. A jeśli jeszcze do tego dorzucić haniebne praktyki, masowo stosowane przez Anglików w zakładanych gdzie się dało koloniach, które bezlitośnie grabiono, to cnoty przypisywane kapitalizmowi i demokracji przez Locke'go nie miały pokrycia w praktyce. Nie lepiej też było w rodzących się USA. Eksterminacja Indian i masowe zatrudnianie murzyńskiej siły niewolniczej, głównie na plantacjach tytoniu i bawełny, na których wyrastała ich siła, kłóciły się bowiem z głoszonymi ideałami demokracji i kapitalizmu.

Z drugiej strony jednakże, licząc efekty końcowe kapitalizmu i demokracji, łącznie z

od nich tempa rozwoju, co jak pokazuje doświadczenie ostatnich lat jest mało prawdopodobne.

Pojęcie "gospodarka rynkowa" jest ponadto w realnym świecie pojęciem umownym. Istnieją bowiem co najmniej cztery podstawowe odmiany gospodarki rynkowej, a mianowicie: liberalna, społeczna, patriarchalna i mieszana. Przykładem pierwszej są USA i inne rozwinięte kraje anglojęzyczne, drugiej są Niemcy, kraje skandynawskie i Austria, trzeciej jest Japonia, a czwartej Francja, Włochy i kraje Beneluxu (aczkolwiek nie wszystkie w jednakowym stopniu).

Między tymi odmianami występują zasadnicze różnice w sposobie produkcji i jej podziału, a ponadto różnice te ulegają ciągle ewolucji i trudno w tej chwili powiedzieć, czy z czasem zatrą się czy pogłębią.

A jaką odmianę gospodarki rynkowej zamierzała wprowadzić u siebie Polska? Tym bardziej, że podejmowane przez nią zadanie nie zostało poddane nie tylko ogólnonarodowej dyskusji, czy choćby węższym i fachowym debatom, ale narodziło się faktycznie w głowach Balcerowicza i grona jego najbliższych współpracowników. Ich pomysły zostały następnie akceptowane w całości przez "kontraktowy" Sejm i podpisane przez prezydenta Jaruzelskiego.

Czy przejście na gospodarkę rynkową, a ściślej mówiąc wolnokonkurencyjną, z jej podmiotami w prywatnych rękach, było jedynym i słusznym rozwiązaniem, przed którym stanęła Polska przy końcu lat 1980-ch?

Z teoretycznego punktu widzenia, który marksizm-leninizm chciał podkopać, ale nie zdołał, wolnokonkurencyjna gospodarka rynkowa i demokracja są dwoma stronami tego samego medalu. A ponieważ Polska, części kierownictwa PZPR nie wyłączając, chciała demokracji, to nie mogła nie chcieć jednocześnie gospodarki rynkowej, zwłaszcza że socjalistyczna zawiodła.

Oдноśnie współzależności pomiędzy demokracją i gospodarką rynkową, to już angielski filozof John Locke (1632-1704), że warunkiem demokracji jest wolnokonkurencyjna

gospodarka rynkowa. Człowiek, mający prawo do posiadania własności prywatnej i mogący, w granicach prawa i rozsądku, swobodnie nią dysponować, stwarza podstawę dla politycznej wolności i rządów prawa.

Tak pojęta gospodarka rynkowa, zwana kapitalizmem, gwarantująca jednostce wolność osobistą i nieskrępowane pole do twórczej inicjatywy, a tym samym demokrację, została już dawno uznana za najlepszy z możliwych ustrojów, mimo że nie zniosła nierówności w stanie posiadania. Uważa się jednak, że równość wobec prawa, w znacznym stopniu niweluje nierówność majątkową, w efekcie czego kapitalizm jest sprawiedliwszym ustrojem, niż wszystkie inne znane dotąd. A ponieważ rodził się on pod wpływem protestantyzmu (głównie kalwinizmu i jego purytańskiej odmiany w Anglii i USA), to nadano mu odpowiednią "oprawę moralną". Uznano bowiem, że kapitalizm jest synonimem wzajemnego zaufania, rzetelności, indywidualnej inicjatywy, uprzejmości, polegania na samym sobie i samokontroli.

Rzecz jasna, tak wyidealizowany kapitalizm, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, a tym samym wyrastająca na jego gruncie demokracja, gdzie każdy człowiek jest jakoby traktowany równo przez prawo, niezależnie od swojego stanu posiadania, jest identycznie wyidealizowana. Rodzące się bowiem w Anglii kapitalizm i demokracja miały za swojego przyrodniego brata nieokiełznaną spekulację, a tym samym nieuczciwość i brak samokontroli nad nierzetelnym postępowaniem. A jeśli jeszcze do tego dorzucić haniebne praktyki, masowo stosowane przez Anglików w zakładanych gdzie się dało koloniach, które bezlitośnie grabiono, to cnoty przypisywane kapitalizmowi i demokracji przez Locke'go nie miały pokrycia w praktyce. Nie lepiej też było w rodzących się USA. Eksterminacja Indian i masowe zatrudnianie murzyńskiej siły niewolniczej, głównie na plantacjach tytoniu i bawełny, na których wyrastała ich siła, kłóciły się bowiem z głoszonymi ideałami demokracji i kapitalizmu.

Z drugiej strony jednakże, licząc efekty końcowe kapitalizmu i demokracji, łącznie z

towarzyszącą im Rewolucją Przemysłową, pojawienie się ich w historii spowodowało nieznaną dotąd awans społeczno-gospodarczy ludzkości. O ile bowiem w 1820 r. aż 80 procent ludzi w świecie żyło za 1 dolara dziennie (według dzisiejszych cen), to ilość ich dzisiaj zmniejszyła się do 20 procent i to pomimo 6-krotnego zwiększenia się liczby mieszkańców globu ziemskiego<sup>52</sup>.

Ale prawdą jest też, że dzisiejsze 20 procent jest 1,5-krotnie liczniejsze od całej ludzkości w 1820 r., nie mówiąc już o tym, że przy obecnych "efektach demonstracyjnych" konsumpcji, 1 dolar w 1820 r. i 1 dolar obecnie, to dwie różne rzeczy.

Tym niemniej jednak faktem jest, że ogólnie kapitalizm i demokracja są sukcesem godnym naśladowania. Konkurujący z nimi socjalizm, mimo legitymowania się odcinkowo niebywałymi sukcesami, wyścig z nimi przegrał. Jeśli jeszcze niezupełnie, gdyż socjalizm w Chinach, Wietnamie i nawet na Kubie może dziś poszczycić się wyższym tempem rozwoju niż kapitalizm, to jednakże dzieje się to dzięki postępującemu urynkowaniu ich gospodarki, a nawet jej prywatyzacji. Ciekawe tylko, gdzie tego są granice i czy proces ten, przy braku demokracji, nie załamie się kiedyś.

Polska zatem w końcu lat 1980-ch nie miała innego wyboru, niż wkroczyć na drogę gospodarki rynkowej i demokracji. Problem polegał jedynie na tym, jak to uczynić.

### XXIII

Zmiana ustroju, jeśli nie jest ona rezultatem procesu ewolucyjnego, ale rewolucyjnego, co nie musi być koniecznie kojarzone z krwawym przewrotem i wojną domową, czasem połączoną z obcą interwencją zbrojną, powinna być możliwie dokładnie przemyślana w swoich założeniach i możliwych skutkach. Musi też wynikać z uzasadnionej konieczności, a nie być wynikiem ideologii, która z góry określa co jest słuszne.

Polska w końcu lat 1980-ch, podobnie zresztą jak niemal wszystkie inne kraje "wspólnoty socjalistycznej", której była członkiem (pod pojęciem "wspólnoty" rozumiano kraje członkowskie RWPG i Układu Warszawskiego), znalazła się w ciężkim kryzysie gospodarczym.

Przyczyny tego są powszechnie znane, ale nie zawadzi pokrótce je przypomnieć. Nie sięgając dalej jak lat 1970-ch, których pierwsza połowa, charakteryzująca się szybkim tempem rozwoju i wzrostu stopy życiowej, co nawet spowodowało społeczną akceptację socjalizmu, ale których druga połowa zakończyła się oznakami kryzysu, w rezultacie czego doszło do "Lata 80".

Co gorsza, pomijając cały szereg innych przyczyn, które złożyły się na ten kryzys, zaistniały pomimo dość znacznego oparcia się o zewnętrzne źródła finansowania rozwoju, nadszedł on w momencie, kiedy lawinowo zaczęły narastać spłaty zagranicznych kredytów.

Oparcie się o obce kredyty w rozwijaniu gospodarki nie jest samo w sobie złe, a nawet często konieczne, ale chodzi o to jak się to robi. W gierkowskich zaś czasach robiono to bez troski (jako doradca ekonomiczny Gierka do końca 1972 r., nie miałem z tym nic wspólnego, gdyż masowe zadłużanie się za granicą zaczęło się po mojej dymisji). Działo się



tak dlatego, że kredyty były początkowo nisko oprocentowane, niżej od stopy inflacji, w efekcie czego powstało wrażenie, iż nic nie kosztują. Wierzone ponadto, iż kredyty można będzie zaciągać bez końca "pod miedź, siarkę i węgiel", a o ich spłatę powinien martwić się wierzyciel, albo... ZSRR.

Kredyty przeznaczano tylko w ok 1/3 na import dóbr kapitałowych, w 1/3 na zboża, głównie paszowe, a w ok. 40 procentach na zakup materiałów do produkcji.

Zadłużanie się miało więc niski współczynnik modernizacyjno-rozwojowy, a ponieważ kredyty były z reguły średnioterminowe i zaczęły szybko drożeć, więc spłata ich zaczęła wyglądać groźnie. Jak groźnie, wystarczy przypomnieć, że zadłużenie Polski w 1972 r. wynosiło tylko 1,5 mld. dol., a w 1980 r. wzrosło już do 23 mld dol. Obsługa tego zadłużenia zaczęła się ponadto komplikować z powodu słabego wzrostu eksportu. O ile tzw. eksport wolnodewizowy w 1972 r. wynosił 2,6 mld. dol., a obsługa zadłużenia 0,4 mld. dol., to w 1980 r. eksport ten wynosił jedynie 9,9 mld dol., podczas gdy obsługa zadłużenia doszła do 8,1 mld. dol.<sup>53</sup>

Perspektywy zaś na poprawę tej niepokojącej sytuacji, co gorsza, były minimalne ze względu na wygasanie tempa rozwoju kraju. W latach 1972-1975 wynosiło ono średnio 10 procent, ale w latach następnych zaczęło spadać, osiągając 3 procent w 1978 r. i minus 2,3 procent w 1979 r. Perspektywy na lata 1981-1985 były nie lepsze (tempo rozwoju zakładano na 2 procent rocznie).

W rzeczywistości, było jeszcze gorzej. "Lato 80" odbiło się bowiem fatalnie na sytuacji gospodarczej kraju. Dochód narodowy, w wyniku strajków, trudności w zaopatrzeniu przedsiębiorstw produkcyjnych i spadku wydobycia węgla, spadł niemal o 6 procent, a w 1981 r. o dalsze 12 procent.

Ale na tym nie koniec. Wprowadzenie "stanu wojennego" pogorszyło tylko dodatkowo i tak już tragiczną sytuację gospodarczą kraju. Dochód narodowy w 1982 r. spadł bowiem znów o 8 procent. Wyjście z tej zapaści skomplikowało nałożenie przez Zachód na PRL

sankcji gospodarczych (jako kary za "stan wojenny"). Konsekwencją ich było niemal pełne odcięcie jej od nowych kredytów, podczas gdy spłaty starych trwały nadal (częściowo PRL je zawiesiła).

Wobec tego, gospodarka, mimo pewnego ożywienia po 1982 r., nie mogła znacząco ruszyć do przodu i stąd lata 1980-te zostały dla rozwoju kraju stracone. Stało się tak głównie dlatego, że PRL w latach 1980-ch uzyskała w formie kredytów (w tym z ZSRR) tylko 8,5 mld dol., podczas gdy z kraju, w formie spłat starych, wypłynęło 19,1 mld dol. Mimo to, zadłużenie kraju wzrosło z 23 mld dol. do 41,4 mld. dol.<sup>54</sup> Wypłynięcie z kraju ponad 19 mld dol. oraz gwałtowne skurczenie się możliwości zaciągania nowych kredytów, odbiło się niekorzystnie na produkcji, której straty z tego tytułu wyniosły co najmniej 20 mld dol., jeśli nie więcej.

W tym sensie więc, powstanie "Solidarności" i w konsekwencji tego wprowadzenie "stanu wojennego", było dla gospodarki kraju (nie tylko jej zresztą) tragedią. Jej zły stan skomplikował następnie zmiany ustrojowe (właściwie powinno się mówić "systemowe"), pomijając już na ile były one dobrze przemyślane i prawidłowo wprowadzone w życie.

O zmianach ustrojowych wspominałem już pobieżnie parokrotnie, ale należy do nich powrócić jeszcze raz, kiedy już zaczęto oficjalnie przystępować do ich realizacji (dotąd były one w znacznym stopniu kamuflowane).

Mazowiecki, a wtórował mu Marian Orzechowski, przewodniczący klubu poselskiego PZPR, mówił o przechodzeniu Polski na tory gospodarki rynkowej i demokracji.

Co się tyczy demokracji, to w trakcie wspomianej już rewizji Konstytucji PRL, dokonanej 29 grudnia, 1989 r., uzupełniono ją o zapis, że powstająca "Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym" (jakby mogła być bezprawnym lub nieprawnym!). Pojęcie "ludu pracującego miast i wsi" zostało zastąpione "narodem", zniknęły deklaracje, że państwo "ochrania zdobycze socjalistyczne i umacnia własność społeczną" itp., itd.

Oдноśnie zaś ustroju gospodarczego, to scharakteryzowano go dość mętnie. Zniesiono

“uregulowania” odnośnie ograniczeń w traktowaniu różnych form własności, zrównując własność prywatną ze społeczną oraz normy określające stosunek państwa do poszczególnych typów przedsiębiorstw (jak państwowe czy prywatne). Utrzymano jednak art. 19, że “praca jest prawem i obowiązkiem”, co w sytuacji perspektywy wzrostu bezrobocia zakrawało na ironię.

Nie wprowadzono jednak zapisu, że kraj przechodzi na “gospodarkę rynkową” (nie wprowadzono go też w Małej Konstytucji z 17 października 1992 r. i dopiero w Konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. w art. 20 jest mowa o “społecznej gospodarce rynkowej”<sup>55</sup>.

W związku z tym niejasnym sformułowaniem nowelizacji konstytucyjnej, otwarta sprawa jest na ile rząd Mazowieckiego z “carem gospodarczym” Balcerowiczem, “kontraktowy” Sejm i prezydent, byli naprawdę uprawnieni do wprowadzania w kraju “gospodarki rynkowej”?

## XXIV

Nowelizacja peerelowskiej Konstytucji z 1952 r., dokonana dopiero 29 grudnia 1989 r. i niejasno formułująca charakter transformacji gospodarki, była bez większego znaczenia w świetle wystąpienia sejmowych Mazowieckiego. Charakter ten określił on jako "rynkowy", nikt temu nie oponował i basta! Jeszcze dobitniej i bardziej szczegółowo powtórzyli to 22 grudnia 1989 r. Balcerowicz z Baką (wówczas prezesem NBP i nadal członkiem Biura Politycznego KC PZPR) w tzw. Liście Intencyjnym do dyrektora Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a więc przed uchwaleniem przez Sejm dziesięciu podstawowych ustaw dotyczących transformacji gospodarczej (ustawy uchwalono w dniach 27-28 grudnia 1989 r.).

Balcerowicz z Baką napisali w Liście, że celem władz polskich jest "stabilizacja gospodarki" i "rozpoczęcie przemian systemu ekonomicznego w drodze stopniowego przechodzenia na mechanizmy rynkowe".

Pozostawiając na uboczu sprawę, czy przed uchwaleniem odpowiednich ustaw przez Sejm autorzy Listu mieli prawo tak pisać, ważniejsze jest co innego, a mianowicie jak oni (właściwie tylko Balcerowicz, gdyż Baka trzymał się w cieniu) wyobrażali sobie owe przemiany?

Nawet najkrótsza odpowiedź na to pytanie zabrałaby zbyt wiele miejsca, a więc należy się ograniczyć do stanu wyjściowego, jaki istniał 1 stycznia 1990 r., w dniu startu "planu Balcerowicza":

*- dziesiątkami lat istniejący system socjalistyczny, w gospodarce charakteryzujący się centralnym planowaniem i zarządzaniem, który mimo prób jej "urynkowienia" pozostawał nadal do końca 1988 r. z grubsza nakazowo-rozdziałczym, ale za rządów Rakowskiego zaczął się dezintegrować. Gospodarka w drugiej połowie 1989 r., będąc z jednej strony w*

*szcątkowym stanie centralnie planowaną i zarządzaną, z drugiej jeszcze nie była a rynkową (w lipcu 1989 r. była nawet krótkotrwała próba wprowadzenia z powrotem kontroli cen i plac, ale pogorszyło to tylko sytuację i próbę zarzucono). Wskutek pogłębiającej się anarchii gospodarczej, nikt nad niczym już nie panował. Proces samouwłaszczania nomenklatury tymczasem nabierał na sile, absorbując dotychczasową kadrę zarządzającą gospodarką, a w konsekwencji tego pogłębiającej się anarchii nie było widać końca;*

- nad krajem wisiała "pętla zadłużenia" zewnętrznego (przypomnijmy, że tylko wolnodewizowe wynosiło prawie 41,5 mld dol.), przed której duszącym w perspektywie uciskiem nie było ucieczki, jako że sumy do spłacenia były ponad siły Polski;

- masa złotych w obiegu gwałtownie wzrastała. Z ponad 2,7 bln złotych w dniu 1 stycznia 1989 r. zaczęła zbliżać się do 13 bln złotych w końcu roku (w 1990 r. przekroczyła 48,6 zł.). Wyprzedzając znacznie podaż towarów i usług; masa "pustego pieniądza" wzmagała inflację i dezorganizowała zaopatrzenie rynku (nie pomagał nawet system kartkowy na niektóre towary), jak też dezorganizowała zaopatrzenie produkcji. Szybkie narastanie tzw. nawisu inflacyjnego groziło dalszym pogarszaniem się i tak już złej sytuacji;

- ok. 60 procent cen krajowych było już wolne od kontroli, co stwarzało nacisk na uwolnienie pozostałych 40 procent, a to tylko groziło tylko wzrostem inflacji, przeradzającej się w hiperinflację (tylko uwolnienie od kontroli cen żywności 1 sierpnia 1989 r. spowodowało, że w IV kwartale 1989 r. wskaźnik cen wzrósł aż o 740 procent!). W sytuacji spadku wartości złotego, rosła wartość wymiennalnych walut, zwłaszcza dolara. Na początku 1989 r. na przykład, "kantorowy" kurs dolara wynosił 3,4 tys. złotych, a jesienią zaczął przekraczać 13 tys. zł. Podbijanie jego kursu w górę wynikało nie tylko z deprecjacji złotówki, ale ze względnie niskiej stopy procentowej złotych kredytów. Będąc znacznie niższą od stopy inflacji powodowała, że zaciąganie złotych kredytów na zakup dolarów i innych wymiennalnych walut, było niezwykle opłacalne. Skutkiem ubocznym tego było jednakże groźne zjawisko "dolaryzacji gospodarki" oraz niebezpieczne narastanie praktyk

spekulacyjnych;

- na dobitkę złego, od początku 1989 r. zaczęły występować oznaki spadku produkcji (ostatecznie spadek ten wyniósł 2,2 procent, podczas gdy w 1988 r. nastąpił jej wzrost o 4,9 procent). Wystąpiły też oznaki stagnacji, a nawet spadku eksportu (w 1989 r. spadł on o 1,2 procent, podczas gdy w 1988 r. wzrósł o 5,6 procent). Jednocześnie nadal wzrastał import, pogarszając tym samym sytuację w bilansie handlowym.

W rezultacie tych negatywnych zjawisk, a było ich znacznie więcej, gospodarka zaczęła szybko tracić i tak już wysoce chwiejną równowagę. Do tego wszystkiego dochodziły przygnębiające nastroje społeczeństwa z powodu coraz gorszego zaopatrzenia rynku, nie mówiąc już o pnącym się ostro w górę wzroście cen, daleko przewyższającym wzrost jego przychodów. Pogarszało się też zaopatrzenie produkcji, powodując jej spadek. Społeczeństwo, do którego dotarły słowa Mazowieckiego o nadciągających ciężkich czasach i perspektywie bezrobocia, stawało się z każdym dniem coraz bardziej apatyczne, a tym samym mniej wydajne. Aktywizował się za to margines społeczny i zaczął organizować się świat przestępczy. A ponieważ płace realne spadały i gwałtownie topniały indywidualne oszczędności, więc nastroje były tym gorsze. Pogłębiały je dodatkowo coraz szerzej rozchodzące się wieści, że na tle rosnącej nędzy, grupa "wybrańców" bogaciła się na potęgę.

W tak niewesołej sytuacji, zaprowadzenie jakiegoś ładu w rozchwianej gospodarce było niezwykle trudnym zadaniem. A jeśli jeszcze miało być połączeniem czynnego poparcia PZPR i biernego "Solidarności", koniecznego przy systemowej transformacji gospodarki, to zadanie stawało się w trójnasób trudne.

Ale czy transformacja systemowa musiała towarzyszyć zaprowadzaniu ładu w gospodarce?

Na pytanie to nikt jeszcze w Polsce w sposób pogłębiony nie odpowiedział, aczkolwiek od pobieżnych ocen (niejednokrotnie bardzo trafnych), jednych wychwalających "plan Balcerowicza", a drugich ganiących (tych ostatnich jest znacznie więcej), aż się roi.

Gwoli prawdy historycznej, Polska nie stanowiła wyjątku w łączeniu zaprowadzania ładu w gospodarce z jej systemową transformacją. Wszystkie kraje "wspólnoty socjalistycznej", w mniejszym lub większym stopniu i w niewielkich odstępach czasu, poszły tą samą drogą.

Ale Polska była pierwszym krajem, który zaczął gruntowną transformację swojej gospodarki i jej przykład był potem w olbrzymim stopniu powielany gdzie indziej.

Jakiż był to więc przykład i czy godny naśladowania?

A skoro już Polska była takim przykładem, to czy musiał on być takim, jakim go znamy, "kapitalistyczną rewolucją", jak transformację nazwał Jeffrey Sachs<sup>56</sup>, duchowy (i nie tylko, gdyż także dobrze opłacany) ojciec polskiej i postkomunistycznej transformacji?

Ojcami duchowymi transformacji polskiej gospodarki byli Sachs, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i różni inni osobnicy z Zachodu, prezydenta Busha nie wyłączając, który w czasie swojej wizyty w lipcu 1989 r. zachęcał Polaków "do odwagi" w reformowaniu gospodarki, ale prawdziwym jej ojcem był... ZSRR.

Powyżej już wspominałem o tym, że rząd Rakowskiego na przełomie lat 1988/1989 zaczął nagle i bez wielkiego szumu wprowadzać w życie różne rozwiązania w gospodarce, które, nie tak jak to bywało dotąd, zapowiadały odchodzenie od gospodarki socjalistycznej i przechodzenia na kapitalistyczną. Tak tego oficjalnie nie nazywano, ale tak to faktycznie było.

"Reformy Rakowskiego", zwłaszcza że on sam sprawami gospodarczymi nigdy nie zajmował się, zapewne nie narodziłyby się w ogóle, gdyby nie było na nie przyzwolenia Moskwy, która zresztą sama zaczęła je wcześniej. Radzieckie były co prawda nieco odmienne w formie, ale podobne w treści. W ZSRR bowiem też zabierano się do demontażu socjalizmu, choć o tym otwarcie nie mówiono. Jest więc bardzo możliwe, że reformy w Polsce, które już na całego rozpoczęły się w drugiej połowie 1989 r., wyprzedzając swoim rozmachem i zakresem wszystkie inne reformy w krajach "wspólnoty socjalistycznej", były Moskwie potrzebne dla zorientowania się co z nich wyjdzie. Lepiej było doświadczać na kimś, niż na samym sobie.

Co się tyczy reform gospodarczych w ZSRR, od początku niechybnie zmierzających do transformacji systemowej, to zaczęły się one już w 1987 r. Początek ich był zupełnie niecodzienny. Uchwałą KC KPZR bowiem, zezwolono podległemu partii Komsomołowi, na tworzenie "młodzieżowych naukowo-technicznych centrów" (NTTM w rosyjskim skrócie),



które miały odpłatnie świadczyć różne usługi przedsiębiorstwom państwowym. "Centra", jak się wkrótce okazało, zaczęły szybko rozrastać się w potężne przedsiębiorstwa. Na czele jednego z nich stanął wówczas 24-letni Michaił Chodorkowski, absolwent politechniki (w momencie aresztowania go 25 października 2003 r. najbogatszy człowiek w Rosji (z majątkiem szacowanym na 8 mld. dol.). W 1989 r. Chodorkowski założył pierwszy prywatny bank w Rosji, Menatep, podejrzewany przez prasę rosyjską o powiązania z KGB i KC partii (bank wdał się natychmiast w podejrzane operacje finansowe, znacznie przewyższające w skali i w charakterze operacje peerelowskiego FOZZ).

Równolegle w czasie rozpoczęło się też "uspółdzielczanie" ZSRR. Pod płaszczykiem "kooperatywów" faktycznie tworzyły się przedsiębiorstwa prywatne, żerujące na przedsiębiorstwach państwowych. "Kooperatorami", jak zwano kierownictwo tych "spółdzielni", byli ludzie wywodzący się z szeregów cywilnej i policyjno-wojskowej "Nomenklatury" (pod koniec 1990 r. ilość tych "spółdzielni" wynosiła już ok. 200 tys.).

Pomimo że formalnie zarządzanie gospodarką pozostało po staremu i istniała kontrola cen, już w 1988 r., a więc nieco wcześniej niż wystartowały "reformy Rakowskiego", w ZSRR władze mówiły otwarcie o budowie "rynocznej ekonomiki", czyli gospodarki rynkowej. Zaczęły też mówić, a w praktyce już to następowało, o dopuszczalności prywatnej własności<sup>57</sup>.

"Transformacyjne wiatry" zatem, które od przełomu lat 1988/1989 powiały nad Polską, przyszły ze wschodu, z ZSRR, a nie z zachodu, jak to wydawało się przeciętnemu Polakowi.

Dlatego też, kierownictwo PZPR, gdyż dołów partyjnych nikt o nic nie pytał, poszło posłusznie za przykładem "towarzyszy radzieckich" i przystąpiło ochoczo do demontażu socjalizmu. Zwłaszcza że przy tej okazji, mówiąc nawiasem, można było "obłowić się" bez ryzyka narażania się na żadne nagany i inne przykre konsekwencje.

Prawdopodobnie też, choć do dnia dzisiejszego nikt z dawnego kierownictwa PZPR nie potwierdził publicznie, zemściło się ono na "klasie robotniczej", która wykazała tyle niewdzięczności za to, co dla niej robiono. Niech teraz zasmakuje innych rządów!

Zresztą, przy powszechnej utracie zaufania do rządów PZPR, żadne nowe reformy czy kontynuowanie starych, nie mogły już liczyć na poparcie społeczeństwa. A zatem należało z tych rządów wycofać się, nie całkowicie oczywiście, ale uskoczyć na bok i czekać co dalej. Rządy "Solidarności" zatem były Nomenklaturze na rękę.

I tym należy tłumaczyć bierność PZPR, kiedy Balcerowicz startował ze swoim "planem". Nie tylko mu nie przeszkadzała mu ona w niczym, ale jeszcze zakulisowo pomagała. Tym bardziej, że jego "plan" stwarzał już teraz nieograniczone pole do samouwłaszczania Nomenklatury (jeszcze w czasie "okrągłego stołu" strona solidarnościowo-opozycyjna coś tam opowiadała o przykróceniu jej "obławiania się", ale w "planie" nie było o tym mowy).

W konsekwencji tego, Balcerowicz miał ze strony PZPR zielone światło dla swoich poczynań, tak jak od "Solidarności" niczego nie pojmującej co się wokół niej działo. PZPR zresztą w końcu stycznia 1990 r. samorozwiązała się i od tego momentu odpowiedzialność za skutki "planu Balcerowicza" spadła już wyłącznie na "Solidarność".

Dlaczego w "Solidarności" nie trafił się nikt, kto ostrzegłby społeczeństwo przed skutkami "planu Balcerowicza"? Przecież już Mazowiecki w swoich mowach sejmowych w sierpniu i wrześniu 1989 r. mówił o nadciąganiu ciężkich czasów!

"Solidarność" jednakże, podobnie jak większość społeczeństwa, były jakby urzeczone "świetlaną przyszłością", która je oczekiwała po krótkotrwałych wyrzeczeniach. Sachs wypisywał przecież w "Gazecie Wyborczej" z 24 sierpnia 1989 r. (a było to już wtedy pismo w kraju najpopularniejsze), że inflację da się zlikwidować w ciągu sześciu miesięcy, a stopę życiową podwyższyć już za pół roku! Wzywał też Polaków, żeby nie wierzyli, iż radykalne reformy wymagają wyrzeczeń i cierpień! A pisał to w końcu Amerykanin, którego dziadkowie

pochodzili z Grodna. Tacy wiedzą co piszą...

Tak, trafiały się głosy, w tym także niektórych amerykańskich ekonomistów, jak prof. Anghela N. Ruginy, prezydenta ISINI (The International Society for Intercommunication of New Ideas, Inc.), który m. in. pisał listy do Mazowieckiego, jeden z 19 sierpnia, a drugi z 20 września 1989 r., ostrzegające go przed negatywnymi skutkami "terapii wstrząsowej"<sup>58</sup>. O ile wiadomo, listy pozostały jednak bez odpowiedzi.

Nie wchodząc już w liczne szczegóły "planu Balcerowicza", główny mój zarzut pod jego adresem dotyczy połączenia w nim walki z hiperinflacją z ustrojową transformacją gospodarki.

Nie można przecież wysłać w tym samym czasie strażaków do gaszenia pożaru domu i budowlanych do jednoczesnego przebudowywania go od fundamentów!

I aż dziw bierze, że w Polsce dopuszczono do tak oczywistego nonsensu.

Faktyczne połączenie walki z hiperinflacją równocześnie z ustrojową transformacją gospodarki (formalnie tylko kilka tygodni dzieliło jedno od drugiego) nie było jedynym błędem "planu Balcerowicza", choć niewątpliwie najważniejszym. Nie mniejszym, a w sensie jego krótkookresowych efektów nawet większym, był błąd w wyjściowym założeniu, który z góry przewidywał spadek produkcji i stopy życiowej oraz wzrost bezrobocia. W konkretnie istniejącej sytuacji było to w jakimś stopniu nieuniknione, ale można dyskutować w jakiej skali. Dopuszczanie zaś takiej perspektywy jako faktu oczywistego i w pewnym sensie korzystnego - było błędem "planu". Tym bardziej, że "solidarnościowy rząd", rozpoczynając walkę z hiperinflacją i niemal jednocześnie zabierając się za ustrojową zmianę gospodarki, podejmował się dzieła o charakterze wybitnie polityczno-ideologicznym. Jego sukces lub porażka mogły bowiem zdecydować o losach wprowadzania kraju na drogę demokracji i gospodarki rynkowej. Sukces mógł przekonać społeczeństwo, że zmiany ustrojowe były jedyną alternatywą wyprowadzenia kraju z kryzysu i wprowadzenia go na drogę dobrobytu, podczas gdy porażka nostalgia za socjalizmem, jeśli nie jego nawrotem w tej czy innej formie.

"Plan" należało więc tak skonstruować, żeby w istniejących warunkach spróbować dokonać wysiłku zaktywizowania produkcji, a nie jej duszenia, jak to faktycznie stało się.

Przy montowaniu "planu", niestety, nic takiego nie zaświtało w głowie Balcerowicza i spółki. Przeciwnie, uczyniono wszystko, żeby "pałką rynkową" wygrzmocić gospodarke, przemysł, jej podstawę, w pierwszym rzędzie. Uznano bowiem, że gospodarka z przemysłem

na czele jest tak zdegenerowana i ospała, że tylko silne jej uderzenie z zewnątrz, przez państwo i konkurencyjny import, może ją wyprowadzić z letargu i zmusić do racjonalnego działania.

Takie podejście do sprawy było z gruntu błędne i wynikało z kompletnej nieznajomości gospodarki, głównie przemysłu, przez Balcerowicza i spółkę. Ani bowiem Balcerowicz, ani jego najbliżsi krajowi pomagierzy, nie mówiąc już o zachodnich doradcach, w peerelowskiej gospodarce nigdy nie pracowali i jej nie znali. Mieli więc uproszczone wyobrażenia o jej funkcjonowaniu, a stąd był już tylko krok do narodzin księżycowych koncepcji jej uzdrowienia.

Na progu startu "planu", przemysł, poza nielicznymi wyjątkami, nie był oczywiście, ani nowoczesny, ani efektywny ekonomicznie i to nie z jego winy. Niska była jego innowacyjność, jak i niskiej jakości produkty (ok. 1/4 jego produkcji była "bublami"). Był wysoce materiałochłonny i energochłonny, niekonkurencyjny na rynku światowym, z przerostami w zatrudnieniu, a wreszcie był zadłużony i nie nadążający z produkcją za popytem. Przyczyny tego były wielorakie i nie można było ich usunąć żadnym szokiem czy innym pałowaniem. Postawienie go raptem w obliczu jakoby wolnokonkurencyjnego rynku, z jego rzekomo "niewidzialną ręką", która miała w szybkim tempie dokonać cudów - było zwykłym awanturnictwem i szczytową nieznajomością realiów. Normalnego rynku nie można było przecież stworzyć w anormalnej sytuacji, gdzie pieniądz nie był pieniądzem, cena ceną, zysk zyskiem, kredyt kredytem itp, itd!

Co więcej, ani w czasie "okrągłego stołu", ani po powstaniu "solidarnościowego rządu", nikt nie próbował nawet dyskutować z przemysłem co i jak należałoby zmienić, żeby podnieść jego produkcję, poprawić jej jakość i obniżyć koszty wytwarzania. Przeciwnie, "plan" jakby pachniał żądzą rozprawy z przemysłem, któremu za jego schorzenia w ogólnie schorowanej gospodarce należała się kara!

Nic dziwnego więc, że Balcerowicz i spółka ani myśleli zasięgnąć jego opinii co

należało uczynić, żeby pchnąć produkcję do przodu. W rezultacie czego przemysł, zdeorientowany istniejącą sytuacją, częściowo już rozkradany samouwłaszczającą się Nomenklaturą, działał "w ciemno", spodziewając się wszystkiego, ale nie tego, co go spotkało.

A spotkała go "końska kuracja", która przeszła jego wszelkie wyobrażenia. Balcerowicz i spółka ubrdali sobie bowiem, że wychowany na systemie nakazowo-rozdziałczym przemysł należy "otrzeźwić" nagłym postawieniem go w obliczu pseudorynkowej gospodarki.

Czy Balcerowicz i spółka wiedzieli jak tego dokonać? Z tego co pisze sam Balcerowicz<sup>59</sup>, wynika niedwuznacznie, że jego "transformacyjne koncepcje" były co najwyżej w zarysach i nierzadko dopinane w ostatniej chwili, nawet w czasie lotu do Waszyngtonu. Wiedział natomiast czego chciał.

A chciał: "po pierwsze - rozwiązać bieżące problemy tak, aby na ile się da, ułatwić wprowadzenie od 1 stycznia 1990 roku zasadniczego programu reform oraz - po drugie - przygotować ów zasadniczy program".

Jak było z tym "rozwiązaniem bieżących problemów", dobrze już dziś wiadomo, choćby z jego własnych wspomnień. Po prostu zaczął od walki z nadmiernym wzrostem płac, które jakoby w sierpniu 1989 r. aż dwukrotnie szybciej rosły od inflacji. Czy tak istotnie było w rzeczywistości - można debatować. Nie wchodząc w szczegóły, Balcerowicz, uderzając w płace, podważał ustalenia "okrągłego stołu" w sprawie ich indeksacji. Krok ten spotkał się z negatywną reakcją zaskoczonych społeczeństwa, ale ponieważ "Solidarność" przyrzekła nie protestować, więc na tym się skończyło.

I tak przyszedł dzień 1 stycznia 1990 r., dzień startu "planu Balcerowicza", którego niektóre epizody warto przypomnieć.

Jednym z nich było faktyczne odcięcie przemysłu od kredytu, którego cenę ustalono na prohibicyjnym poziomie, 36 procent w stosunku miesięcznym. Przy takim oprocentowaniu

pożyczka 1 mln zł w styczniu oznaczała spłatę prawie... 40 mln zł w grudniu! W efekcie, przemysł, który funkcjonował w poważnym stopniu w oparciu o kredyt, został go raptem pozbawiony. W tej sytuacji przedsiębiorstwa nie płaciły, lub prawie nie płaciły, za otrzymywane dostawy, nie zawsze też otrzymując zapłatę za swoje towary, co powodowało powstawanie tzw. zatorów płatniczych. Brakowało im też pieniędzy na płace i na wszystkie inne cele, co z kolei zmuszało je do ratowania się nadmierną podwyżką cen swoich produktów.

W rezultacie tego wszystkiego - produkcja przemysłowa zaczęła spadać. A gdyby nawet jakimś cudem mogła wzrastać, to natrafiłaby na barierę wzrostu płac w postaci progresywnego podatku od ponadnormatywnych wynagrodzeń, zwanego potocznie "popiwkiem".

Skutek tego był zaś taki, że dochód narodowy w 1990 r., zamiast spaść tylko o 2 proc., albo nawet wzrosnąć o... 3,8 proc., spadł o 13 procent! Produkcja przemysłowa spadła z kolei prawie o 25 proc., zamiast zakładanych 5 proc., płace spadły o 30 proc., zamiast o 10 proc., konsumpcja obniżyła się o 24 proc., zamiast o 5,5 proc, a bezrobocie, które miało wzrosnąć o 0,5 mln, wzrosło o 1,1 mln., inwestycje zaś, zamiast wzrosnąć, spadły o 8 procent. Inflacja wreszcie, która w 1989 r. wyniosła 351 proc., w 1990 r., mimo wytoczonej jej wojnie, wzrosła o 686 proc.

## X XVII

Porażka "planu Balcerowicza" w walce z hiperinflacją, była porażką monetaryzmu, według którego pieniądzem można regulować wszystkie procesy ekonomiczne. W nierynkowej gospodarce polskiej, istniejącej w momencie startu "planu", monetaryzm był tym bardziej nieporozumieniem. Hiperinflacja zatem, zamiast zniknąć po pół roku, w pierwszym roku "planu" niemal podwoiła się do prawie 700 proc. Potem zaczęła słabnąć. W 1991 r. wyniosła bowiem 60,3 proc., w 1992 r. 43 proc., a w 1995 r. 22 procent, ale i tak był to poziom nadal za wysoki dla normalnego funkcjonowania gospodarki. W obawie przed nawrotem hiperinflacji utrzymywano wysokie oprocentowanie kredytu, "schładzając" przy okazji tempo rozwoju. Cel ten wreszcie osiągnięto na przełomie lat 1999/2000, gdyż inflacja przestała być problemem, ale w zamian za to gospodarka znalazła się w stanie stagnacji.

Banki, które teraz miały być promotorem rozwoju, do roli tej nie były przygotowane, gdyż będąc instytucjami państwowymi, pełniły one rolę księgowego, nie znającego tajników gospodarki. Ponadto, podrożenie kredytu, spowodowane "planem", odstraszyło od nich klientów. Zresztą, banki też stanęły w obliczu reformy, czyli prywatyzacji.

O ile więc polityka monetarna nie dała oczekiwanych skutków, to nie lepiej było z polityką fiskalną. Deficyt budżetu państwa, który w 1989 r. równał się 3,5 proc. PKB, produktu krajowego brutto (miernik produkcji stosowany w III RP, z grubsza pokrywający się z dochodem narodowym w PRL), zniknął co prawda na krótko w 1990 r. w wyniku podjętych przez "plan" operacji, ale już w 1992 r. równał się 3,8 proc. PKB, a w 1992 r. 6 proc., co było zwiastunem katastrofy finansów państwa. Dług publiczny (zagraniczny i krajowy), podwajając



się w latach 1991-1993 i dochodząc do 86 proc. PKB, stworzył problem jego obsługi (w 1994 r. obsługa długu pochłonęła 13,5 proc. wydatków budżetowych). Sytuację zewnętrzną poprawiło nieco zredukowanie zewnętrznego zadłużenia o połowę, ale wewnętrzne, ze względu na spadek dochodów budżetu, rosło nadal. Rosnący deficyt łatano emisją obligacji atrakcyjnie oprocentowanych, co nie tylko podbijało cenę kredytu, ale także zdejmowało z rynku pieniądź, który mógł być użyty na cele rozwojowe.

Litania rozejścia się założeń "planu Balcerowicza" z wynikami, nie tylko w 1990 r., ale także w następnych latach (po odejściu Balcerowicza "plan" nadal z grubsza kontynuowano), jest długa i szczegółowe jej omawianie zabrałoby zbyt wiele miejsca.

O tym jak bardzo źle wyszedł na "planie Balcerowicza" przemysł, już wiadomo z poprzedniego odcinka artykułu. Źle wyszły też na nim budownictwo, transport, szereg usług, a wreszcie rolnictwo.

Co się tyczy rolnictwa, to zniesienie kontroli cen na artykuły rolne 1 sierpnia 1989 r., jeszcze przez rząd Rakowskiego, spowodowało wkrótce wzrost cen artykułów przemysłowych. W efekcie tego, rolnictwo, najsłabsza gałąź gospodarki, wyszło najgorzej na wolnej grze cen. Układ cen bowiem pomiędzy artykułami rolnymi i przemysłowymi zaczął się kształtować niekorzystnie dla chłopca. W 1990 r. stracił on aż 50,5 proc. swoich dochodów na tym układzie, a w 1991 r. dalsze 25,2 proc. W sumie, ponad 5-krotny wzrost cen artykułów rolnych w latach 1990-1991 został "przelicytowany" ponad 13-krotnym wzrostem cen artykułów przemysłowych.

I tak, o ile w 1988 r. za 1 kwintal pszenicy chłop mógł nabyć 92 litry oleju napędowego, to w 1993 r. już tylko 37 litrów. Podobnie, za 1 kg żywca wieprzowego mógł nabyć 6 litrów oleju w 1988 r., a w 1993 r. jedynie 2 litry<sup>60</sup>.

Nic dziwnego więc, że przy tak niekorzystnym układzie cen, wzrost produkcji rolnej w latach 1990-ch był niemal zerowy.

Głębokie załamanie się produkcji i gwałtowny spadek stopy życiowej nie ograniczyły

się jedynie do pierwszego roku "planu", o czym już wspomiano w poprzednim odcinku artykułu. W następnym, w 1991 r., PKB, spadł o dalsze 7,8 proc. i dopiero w 1992 r. wzrósł on o 1,5 proc., a w 1993 r o 4,5 proc. Ale i wtedy był on nadal niższy od PKB w 1990 r., który z kolei - przypomnijmy - był znacznie niższy od tego z 1989 r. (a ten był o 2,2 proc. niższy od PKB z 1988 r.).

W kolejnych dwóch latach tempo rozwoju wzrosło, wynosząc 5,2 proc. w 1994 r. i 7,0 proc. w 1995 r.. (co nawet Polsce zyskało przesadne miano "tygrysa Europy"), ale nie należy zapominać, że dopiero w 1995 r. produkcja ledwie przekroczyła poziom z 1990 r., będąc jednak nadal niższą od poziomu z 1989 r., nie mówiąc już o poziomie z 1988 r. W następnych latach, co gorsza, tempo rozwoju zaczęło spadać. W 1996 r. i 1997 r. wyniosło 6,1 proc., w 1998 r. i 1999 r. oscylowało wokół 4,5 proc., w 2000 r. wyniosło tylko 2,1, w 2001 r. osiągnęło niecałe 1 proc., a w 2002 r. do 1,3 proc. (w 2003 r. może przekroczyć 3 proc.)

Jak wynika z powyższego obrazu, "plan Balcerowicza", uzupełniany następnie innymi podobnymi "planami", nie przyniósł zatem zapowiadanego "ruszenia z kopyta" polskiej gospodarki. Przeciwnie, tempo jej rozwoju ukształtowało się na niskim poziomie i nie ma pewności, że ulegnie ono przyśpieszeniu w dłuższym okresie czasu. W latach 1989-2003 waha się w granicach 1,5 proc. i jeśli tak miałoby pozostać, to jest to klęska transformacji ustrojowej na odcinku gospodarczym. Wydaje się bowiem, że nastąpiło strukturalne zwichnięcie polskiej gospodarki, które może być trudne do usunięcia. Tym bardziej, że transformacja pociągnęła za sobą pojawienie się na masową skalę szeregu ujemnych zjawisk, podcinających nie tylko funkcjonowanie gospodarki, ale także państwa. Nie do tolerowania jest wysokie bezrobocie, przekraczające 3,2 mln oraz głębokie rozwarstwienie społeczeństwa, z powiększającym się marginesem nędzy. Do tego dochodzi zastraszająca i zwiększająca się kryminalizacja życia codziennego, jak korupcja na wszystkich szczeblach władzy oraz liczne i różnorodne "afery", uchodzące na ogół ich sprawcom bezkarnie.

A propos "afery", to jedną z nich, prawdopodobnie największą spośród wszystkich

innych, "afere rublową" z grudnia 1990 r., którą nigdy nie poddano śledztwu<sup>61</sup>, warto przypomnieć. W jej wyniku bowiem ZSRR wysłał z Polski ok. 1 mld dol. (lub więcej), dzięki zgodnemu działaniu "cara gospodarczego" Leszka Balcerowicza, prezesa NBP Władysława Baki (b. członka BP KC PZPR) i ministra współpracy gospodarczej z zagranicą Marcina Świącickiego (do rządu "solidarnościowego" wszedł on z ramienia PZPR).

Nic dziwnego więc, że Balcerowicza przyjmowali potem serdecznie w Moskwie tak Gorbaczow, jak i Jelcyn...

Na "plan Balcerowicza" należy więc spojrzeć i od tej strony.

## XXVIII

Niezadawalające wyniki transformacji ustrojowej na odcinku gospodarczym, miały olbrzymi wpływ, jeśli nie decydujący, na transformację na odcinku ideologiczno-politycznym.

Ale czyż jednakże znalazł się ktoś "z nazwiskiem" w szeregach "Solidarności" czy gdziekolwiek indziej, kto krytycznie oceniłby założenia i przebieg transformacji gospodarczej? Z "Solidarności", gdyż wszyscy inni nie bardzo się wtedy liczyli, jedyną ważną osobistością, która wypowiedziała się krytycznie o "planie Balcerowicza" był prof. Witold Trzeciakowski, minister i przewodniczący Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów. W czasie jej sesji 14 listopada 1991 r. powiedział on o transformacji gospodarki co następuje:<sup>62</sup> "Program szokowy kosztował zbyt wiele; zwłaszcza recesja gospodarki jest zbyt głęboka. Także metody prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych były nieudane; zagraniczni eksperci nie wzięli w tej sprawie pod uwagę polskiej rzeczywistości. Rada powinna wypowiedzieć się za odrzuceniem terapii szokowej jako głównej drogi przebudowy polskiej gospodarki..."

No cóż, należy tylko żałować, że głos Trzeciakowskiego był tak bardzo spóźniony. Tym niemniej, warto go odnotować, gdyż zabrzmiał on jak totalna krytyka "planu Balcerowicza", nie tylko od strony czysto ekonomicznej, ale także ideologiczno-politycznej.

Jeśli tak, to czy polska droga ustrojowej transformacji, od drugiej połowy 1989 r. o wiele bardziej ideologicznie zdefiniowana niż w innych krajach, wówczas jeszcze istniejącej "wspólnoty socjalistycznej", była jedynie słuszną drogą? Nie było żadnej innej alternatywy? Chodziło przecież o zamianę jednego ustroju na drugi, a w tej dziedzinie nie było nigdzie w świecie doświadczeń jak do tego należało się zabrać. Wiedziano jak można było przejść od

kapitalizmu do socjalizmu, ale nie odwrotnie.

Dlaczego nie szukano jakiejś "trzeciej drogi"? W końcu, o czym w świecie i w Polsce wiedziano, jedenaście lat przed Polską na taką drogę, choć formalnie "trzecią" jej nie nazywały, wkroczyły Chiny, osiągając zadziwiająco wysokie tempo rozwoju. Prawda, do 1992 r., kiedy to zgodnie z uchwałą XIV zjazdu KPCh, Komunistycznej Partii Chin, wprowadzono w konstytucji poprawkę, że kraj ten buduje "socjalistyczną gospodarkę rynkową", nie było zbyt jasne w jakim kierunku on zmierzał. Co najwyżej było wiadomo, że w Chinach rozpoczęto próby syntezy socjalizmu i kapitalizmu, w sposób gdzie przysłowiowy wilk był syty i owca cała.

Sytuacja w Chinach była, oczywiście, znacznie odmienna od tej w Polsce i w każdym innym kraju, skupionej wokół ZSRR "wspólnoty socjalistycznej". W konsekwencji tego nie można było łatwo powielić chińskiej transformacji gospodarczej, ale pewne podstawowe cechy ustrojowe były tutaj wspólne. Ponadto, należało przynajmniej wiedzieć jak przebiegała transformacja gospodarcza w Chinach, która mając za sobą wieloletnie już doświadczenia mogła dostarczyć Polsce cennych refleksji. Tym bardziej, że transformacja chińska nie tylko nie wywołała nawet krótkotrwałego spadku produkcji, ale przeciwnie - od początku nabrała ona wysokiego (najwyższego w świecie) tempa rozwoju, które nieprzerwanie trwa do dzisiaj.

Tak na przykład, w okresie 1979-1989 roczne tempo rozwoju Chin wyniosło 8,8 proc., w tym w przemyśle 11,2 proc. i 4,1 proc. w rolnictwie. Zatrudnienie wzrastało o 3 proc. rocznie, a w kraju powstało ponadto 10 mln prywatnych przedsiębiorstw, głównie w handlu detalicznym, rzemiośle i drobnej wytwórczości<sup>63</sup> (355 tys. państwowych zakładów produkcyjnych<sup>64</sup> nie objęto prywatyzacją, pozwalając im natomiast na dużą swobodę działania, mimo utrzymania centralnego planowania i zarządzania gospodarką).

Cóż takiego więc Chiny uczyniły, że po okresie 15-letnim, kiedy produkcja spadła o ok. 20 procent, ruszyła ona raptem z kopyta?

Przede wszystkim, po śmierci Mao Zedonga we wrześniu 1976 r., do władzy w

Chinach zaczęli dochodzić "pragmatycy", których czołowym przedstawicielem był Deng Xiaoping. Prześladowany w czasie "rewolucji kulturalnej", Deng, w niejasnych okolicznościach został szefem Sztabu Generalnego, a następnie przewodniczącym dwóch Komisji Wojskowych, partyjnej i rządowej. Funkcje te (w partii był tylko członkiem BP, a w rządzie wicepremierem, gdyż jako przeciwnik "kultu jednostki" nic więcej nie chciał) uczyniły z niego faktycznego przywódcę kraju, aż do jego śmierci w 1997 r. w wieku 93 lat.

Dengowi przypisuje się serię uchwał, które datują się od sierpnia 1977 r., od XI zjazdu KPCh, który przyjął "nową linię partii", zapowiadającą radykalne przemiany w funkcjonowaniu partii i państwa. Idąc za tymi wskazaniem, V sesja "Ludowego Kongresu" (parlamentu), odbyta w lutym-marcu 1978 r., przyjęła ambitny plan 10-letni, zmieniający dotychczasową strategię rozwojową kraju. Wreszcie, odbyte w grudniu 1978 r. III plenum KC partii już ostatecznie nadało realnych kształtów "nowej linii partii"<sup>65</sup>.

Nowa linia partii polegała na postawieniu produkcji ponad ideologią, z podkreśleniem jednakże zachowania "ideologicznego cementu", którym miał być marksizm-leninizm-maoizm<sup>66</sup>. Mao Zedonga nie tylko nie odsądzono od czci i wiary za to co działo się latami w Chinach, ale przeciwnie - "nową linię partii" uznano za ...zgodną z jego "myślami"!

W praktyce, wysiłki partii i państwa zostały skierowane głównie na realizację "Czterech Modernizacji" (obejmujących rolnictwo, przemysł, postęp naukowo-techniczny i obronę).

Ciekawe jednak, że nie sięgano do żadnej "terapii szokowej". Demontaż "komun ludowych", zaczął się natychmiast, ale uchwałę w tej sprawie wydano dopiero w 1982 r.<sup>67</sup>, a demontaż ich zakończono w dwa lata później.

Nie wyliczając co i jak Chiny zmieniały w funkcjonowaniu swojej gospodarki, a sięgały do instrumentów rynkowych, z dopuszczaniem obcego kapitału włącznie, doczekały się bezprecedensowych sukcesów. Tempo rozwoju z pierwszego dziesięciolecia reform utrzymały, w efekcie czego produkcję, licząc od 1970 r. (faktycznie 1979 r., gdyż przedtem

latami nie wzrastała ona), zwiększyły aż 13-krotnie!<sup>68</sup> Dla porównania, produkcja PRL w latach 1978-1989 wzrosła tylko o ok. 0,5 procent, a III RP w latach 1990-2002 wzrosła o 28 procent. Chińskie tempo rozwoju było zatem 40-krotnie wyższe od polskiego! Dlaczego? Przecież nawet w PRL w latach 1980-ch, nie mówiąc już o III RP, też sięgano do mechanizmów rynkowych.

I w Chinach udało się, a w Polsce nie?

## XXIX

Pomiędzy Polską a Chinami, mającymi kiedyś identyczny ustrój socjalistyczny, ale odcinkowo diametralnie odmienny, różnic było jednak wiele i stąd przechodzenie przez oba kraje na gospodarkę rynkową nie mogło przebiegać jednakowo.

W Polsce różnicą zasadniczą, jaka wystąpiła w tym przechodzeniu, było połączenie transformacji gospodarki, z socjalistycznej na kapitalistyczną, z przejściem państwa typu totalitarnego na demokratyczne, ze społeczeństwem obywatelskim jako jego podstawą.

W Chinach natomiast ograniczono się wyłącznie do transformacji gospodarki, pozostawiając nietknięty istniejący ustrój polityczny, którym był system jednopartyjny, z partią komunistyczną u władzy (faktycznie władzę sprawowała armia i organy bezpieczeństwa).

Odlączenie transformacji gospodarczej od transformacji państwa i społeczeństwa, zgodnej z zachodnimi wzorcami demokracji, okazało się dla Chin zbawienne. Pozwoliło bowiem ich władzom na utrzymanie strategicznego kierownictwa nad rozwojem kraju z jednej strony, a z drugiej na maksymalną mobilizację społeczeństwa do wykonywania zadań stawianych przez partię. W obawie przed chaosem, jaki mógł za sobą pociągnąć proces demokratyzacji ponad miliardowego państwa, Chiny nie cofnęły się nawet przed krwawą masakrą, domagających się demokracji studentów w Pekinie w czerwcu 1989 r.

Chiny, gwoli prawdy, nie były odosobnione w budowania gospodarki rynkowej bez jednoczesnej demokratyzacji państwa i społeczeństwa. W okresie, kiedy zaczynały reformy gospodarcze, nie były pod tym względem wyjątkiem. Identycznie bowiem postępowały już od lat Tajwan, Korea Południowa, Singapur i Hongkong (wówczas jeszcze posiadłość brytyjska). A ponieważ kraje te osiągały olbrzymie sukcesy gospodarcze bez demokracji, to dlatego



Chiny miałyby postępować inaczej? Fakt zaś, że kraje te (poza Hongkongiem, który powrócił do Chin) zaczęły w latach 1990-ch stawać się demokratycznymi, był zatem wtedy bez znaczenia.

Będąc państwem ze zjednoczonym i świadomym celu kierownictwem oraz mając od prawie 80 lat zdyscyplinowaną i od 30 lat rządzącą partię, Chiny w końcu lat 1970-ch ruszyły do transformacji swojej gospodarki. Nie tak jak Polska, która musiała słuchać bądź Moskwy bądź różnych Sachsów, MFW i Banku Światowego, Chiny słuchały wyłącznie samych siebie i kierując się pragmatyzmem oraz zdrowym rozsądkiem, dobiły się cudu gospodarczego. A że niektórzy polscy komentatorzy, dość trafnie zresztą, nazywają dziś Chiny "komutalizmem"<sup>69</sup>, mieszkanką komunizmu i kapitalizmu, a KPCh "Kapitalistyczną Partią Chin"<sup>70</sup>, to co z tego? Chiny, będąc trzecim największym nuklearnym mocarstwem świata, czwartą największą gospodarką (według siły nabywczej dolara drugą po USA) oraz czwartą potęgą handlową w świecie, mogą pobłażliwie traktować tego rodzaju aluzje. Liczą się ich sukcesy, a te powinny wywoływać zazdrość u Polaków, którzy w swojej transformacji nie mają się czym pochwalić.

A czy Polska powinna i mogła pójść w ślady Chin, odłączając transformację gospodarki od transformacji państwa i społeczeństwa?

Polska niezupełnie powinna, a i nie mogła. Dlatego, że niezależnie od wielu różnic, dzielących oba kraje w momencie ich przystępowania do transformacji, Polska, nie tak jak Chiny, dopiero wyrwała się spod radzieckiej dominacji. Nie ma zresztą pewności, że elity rządzące ginącej PRL i rodzącej się III RP chciały i mogły wyrwać się spod tej dominacji. Za mało bowiem nadal wiemy na ten temat. Stąd polska transformacja, o wiele ambitniejsza niż chińska, jako że łączyła sprawy gospodarcze z ideologiczno-politycznymi, od początku zaczęła iść wyjątkowo krętymi drogami i w efekcie nie można zorientować się ile w tym było ignorancji, improwizacji i braku przemyśleń, a ile "podszeptów" i innych działań "z boku", czy wreszcie ile i jak zwykle naiwnych - "dobrych rad" ze strony Zachodu.

Nie to wszystko jednak było najważniejsze, ale fakt, że w momencie brania przez

Polskę "dziejowego zakreću", w jej historii bezprecedensowego, nie miała ona żadnej, zorganizowanej siły politycznej, która byłaby zdolna odpowiedzialnie, a nie ignorancko wytrzepując je z rękawa, nakreślić kontury wszechstronnej transformacji państwa i narodu, a następnie, dokonując korekt w stawianych sobie zadaniach, konsekwentnie i uporczywie wprowadzić je w życie.

W Chinach, cokolwiek o tej sile nie powiedzieć, była nią partia komunistyczna, twór własnego chowu, który doszedł do władzy swoim własnym wysiłkiem (co prawda przy dyskretnym wsparciu ZSRR).

W Polsce partia komunistyczna, najpierw PPR, a potem PZPR, takim tworem nie była, ani do władzy nie doszła własnym wysiłkiem. Nie tak też jak partia chińska, która pomimo różnych "błędów i wypaczeń", a nawet masowych zbrodni, otrząsnęła się ze swojego ponurego dziedzictwa i pchnęła kraj na drogę rozwoju, budzącego podziw całego świata, polska partia komunistyczna nie mogła zdobyć się na nic innego, niż samorozwiązanie. I nie jest ważne czy z własnej woli czy na rozkaz z Moskwy.

Rejterując z pola walki, PZPR (i znów nie wiadomo czy z własnej inicjatywy czy na rozkaz z Moskwy) samobójstwa jednak nie popełniła. Samorozwiązując się wyłoniła jednakże ze swojego łona dwie partie, SdRP, Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej oraz PUS, Polską Unię Socjalistyczną.

Tym niemniej, PZPR, która była niewątpliwie (z własnej inicjatywy czy na rozkaz z Moskwy) siłą główną w uruchomieniu w latach 1988-1989 procesu demontażu socjalizmu, w dobijaniu go bezpośredniego udziału już nie brała, umiejętnie obarczając "Solidarność" tym zadaniem.

Do dziś nie wiemy jednak, czy kierownictwo schodzącej ze sceny historycznej PZPR i jej dotychczasowa opiekunka KPZR, przewidywały w jakie tarapaty popadnie wkrótce sprawująca formalnie rządy "Solidarność". Najprawdopodobniej przewidywały, gdyż inaczej nie stworzyłyby SdRP, z której łona wyszedł następnie SLD, Sojusz Lewicy Demokratycznej,

faktycznie w kwietniu, a formalnie w grudniu 1999 r., partia aktualnie sprawująca w Polsce władzę w koalicji z UP, Unią Pracy.

Ale jest też prawdą, że w okresie decydującym dla transformacji ustrojowej, przede wszystkim na odcinku gospodarczym, PZPR jako siły politycznej w Polsce już nie było, a SdRP (PUS uległa samorozwiązaniu w lipcu 1991 r.) dopiero zaczęła stawać się siłą. W chwili obecnej zaś, przekształcona faktycznie w kwietniu, a formalnie w grudniu 1999 r. w SLD, Sojusz Lewicy Demokratycznej, w koalicji z UP, Unią Pracy, sprawuje w Polsce władzę od września 2001 r., dzierżąc też od grudnia 1995 r. fotel prezydencki.

Fakt ten, rezultat niezdolności "Solidarności" do stworzenia własnej siły politycznej, która mogłaby rządzić w III RP, jest źródłem jej kryzysu, którego końca nie widać.

### XXX

Pytanie, dlaczego "Solidarność", w chwilach dla Polski przełomowych, nie zdołała stworzyć siły politycznej w postaci partii, jest w pewnym sensie nawet zrozumiałe, aczkolwiek nie najlepiej świadczące o Polakach. Zarówno bowiem przed "Latem 80", jak też po narodzinach "Solidarności", w czasie jej 16-miesięcznego trwania, a następnie w okresie tzw. Podziemia, "okrągłego stołu" i w końcu jej jakoby dojścia do władzy, Polacy nie dokonali choćby tylko intelektualnego wysiłku nakreślenia alternatywnego programu, wobec posiadanego przez PZPR i narzuconego państwu, jakim była PRL.

Opozycja co prawda, której głównym reprezentantem od lata 1980 r. stała się "Solidarność", miała wiele pretensji pod adresem istniejących w PRL porządków, ale poza jakąś odcinkową i dość ogólnikową ich krytyką, najczęściej w postaci artykułów w "drugim obiegu", na nic innego zdobyć się nie mogła. Żadna alternatywna, autentycznie polska myśl polityczna, nie mogła się nijak narodzić wobec peerelowskiej (wyraźnie podejrzanego pochodzenia "programu" PPN, Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, założonego w 1975 r. głównie przez Zdzisława Najdera, nie można serio traktować).

Programem, ani tym bardziej myślą polityczną, nie były też "21 postulatów" rodzącej się "Solidarności" z sierpnia 1980 r., ale mogły nawet być, gdyby był do nich dodany "22-gi postulat", mówiący o wolnych wyborach do Sejmu. Na postulat ten, choć co prawda wówczas nierealny, nie zgodził się jednak Wałęsa.

Potem, za drugiej "Solidarności", zwłaszcza w czasie "okrągłego stołu", opozycja, poza roszczeniowymi postulatami, nie miała właściwie nic mądrego do powiedzenia.

Dlatego też, w momencie kiedy władze PRL chytrze przekazały pałeczkę rządów nad krajem "Solidarności", to szybko okazało się, że opozycja, choć ustami Mazowieckiego zapowiedziała transformację, a rękami Balcerowicza zaczęła ją realizować na odcinku gospodarczym, nie bardzo zdawała sobie z tego sprawę na co porwała się, za co oczywiście zaczęła brać wielkie ciężki, które fatalnie zaważyły na dalszych losach nowonarodzonej III RP.

"Solidarność", gdyż formalnie na niej ciąży główna odpowiedzialność za powstałą w Polsce sytuację od formalnego objęcia przez nią władzy, nie tylko nie wiedziała co z tym fantem zrobić, ale jeszcze swoimi wewnętrznymi waśniami i podziałami zatruta wyłaniającą się nową scenę polityczną.

Główną przyczyną tego stanu rzeczy, i tu można się zgodzić z opinią dr Darii Nałęcz, że "Solidarność", będąc "ruchem wielomilionowym i łączącym ludzi różnych poglądów, ze względu na swoją wewnętrzną niespójność, bardzo szybko po prostu pękła"<sup>71</sup>.

Jest to ogólnie prawdą, ale szczegóły tego pęknięcia są już bardziej złożoną sprawą.

Jego przyczyn należy bowiem poszukiwać głównie w łonie kierownictwa "Solidarności", a nade wszystko w roli jej przywódcy Lecha Wałęsy.

Rola jednostek w historii jest niezaprzeczalna.

Na dowód tego wystarczy tylko zastanowić się jak wyglądałyby dziś Chiny, gdyby na ich czele dwadzieścia pięć lat temu nie stanął oszczędny w słowach i niepozorny z wyglądu Deng Xiaoping (mierzył 147 cm) ich faktyczny przywódca.

A jak było w Polsce?

PZPR, schodząc ze sceny dziejowej, nie mogła chwilowo ze swoich szeregów wyłaniać przywódców III RP. Przeciwnie, ci co jeszcze byli na najwyższych stanowiskach państwowych, mimo "grubej kreski" Mazowieckiego, byli "na wylocie". Co prawda Jaruzelski, po tym jak został w lipcu 1989 r. prezydentem opuścił szeregi PZPR, to jednak był to relikw PRL do koniecznej wymiany. Podobnie było z generałami Kiszczakiem i z Siwickim, "siłowymi ministrami" w rządzie Mazowieckiego. Po samorozwiązaniu się PZPR, do SdRP

lub PUS już nie wstąpili, ale w rządzie, w którym zasiadali z jej ramienia, teraz nie mieli tam czego szukać (ustąpili z niego w lipcu 1990 r.).

Na placu boju pozostała więc "Solidarność", na którą spadł obowiązek stworzenia nowej i dynamicznej sceny politycznej, z zachowaniem swojej roli kierowniczej, jako siły wśród opozycji największej.

Z tego też powodu, nie można pominąć roli Wałęsy, przywódcy "Solidarności".

Rola Wałęsy w najnowszej polskiej historii jest niezaprzeczalna. Rzec tylko w tym czy jest ona pozytywna, czy negatywna?

Wałęsa, jeśli nawet nie był esbeckim agentem "Bolkiem" (osobiście myślę, że nim był, a może nawet radzieckim), był nieszczęściem dla Polski. Nawet gdyby działał bez żadnych "podszeptów z boku", tylko z własnej inicjatywy, to działał w taki sposób, że zamiast tworzyć z odradzającej się "Solidarności" siłę polityczną, niezbędną dla kraju zmieniającego swój ustrój, systematycznie ją rozkładał.

Kiedy zaczął to robić, jest kwestią dyskusji. Formalnie bowiem, Wałęsa w chwilach najbardziej dla kraju przełomowych, jakby usunął się w cień. Jeszcze podczas "okrągłego stołu", przewodząc stronie solidarnościowo-opozycyjnej, tak nie było. Ale zaraz potem, z przyczyn do dziś niejasnych, ani nie kandydował do Zgromadzenia Narodowego w czerwcowych wyborach, ani w lipcu 1989 r. nie ubiegał się o fotel prezydenta, a w miesiąc później premiera, mimo że byłoby to wtedy, nieważne czy na te stanowiska nadawał się, rzeczą naturalną. Skoro bowiem "Solidarności" przekazywano władzę, a Wałęsa stał na jej czele, więc miał do tego prawo.

Widocznie jednak Moskwa miała jakieś inne plany. W Czechosłowacji, gdzie w listopadzie 1989 r. doszło z jej poręki do "aksamitnej rewolucji", już w następnym miesiącu Vaclav Havel, przywódca opozycji, został prezydentem kraju (poręka Moskwy polegała na tym, że KGB wraz z czechosłowacką StB, której por. Ludek Žiwczak udął zamordowanego studenta, wywołały masowe protesty w Pradze, w wyniku czego komunistyczne władze kraju

podały się do dymisji).

Było to nawet o tyle dziwne, że Wałęsa, nie tak jak Havel w Czechosłowacji, jesienią 1989 r. był osobą w Polsce i w świecie autentycznie najbardziej popularną. Moskwa jednak wiedziała co robiła i mimo że w następnych tygodniach i miesiącach gwiazda Wałęsy zaczęła gasnąć, wtedy właśnie przystąpiła do działania. Nie tak bowiem jak w Czechosłowacji, gdzie sprawa była względnie prosta z przejściem od jednej władzy do drugiej, gdyż nie było tam siły w postaci "Solidarności", w Polsce było inaczej. Siłę "Solidarności", gdyż z czasem Moskwa mogła stracić nad nią kontrolę, należało zatem osłabić, albo nawet w ogóle wyeliminować z gry, po tym jak formalnie podarowała jej niby rządy.

Jak coś takiego Moskwa mogła dokonać?